



Strażnik jeziora

Do tej podróży przygotowywałem się od dłuższego czasu. Jednak wciąż nie było mi po drodze, aby dotrzeć na Zielony Ostrów. W końcu stało się, wyruszyłem w podróż na północ Polski, by spotkać strażnika jeziora Oświn. Do dalekiej wyprawy zachęcił mnie list od znajomego, w którym opisywał historię konfliktu wokół rezerwatu "Jeziora Siedmiu Wysp", a także bezkompromisową postawę strażnika tego miejsca, psującego dobre samopoczucie myśliwych z elity miejscowej władzy. Postanowiłem więc zbadać dokładnie sprawę odwiedzając Jana Płońskiego - strażnika z Zielonego Ostrowa.

W słabym świetle lampki przeglądam raz jeszcze zebrane materiały dotyczące rezerwatu.  Źródłem mojego konfliktu z myśliwymi - pisał w liście Jan Płoński - są zabiegi Fundacji Jeziora Oświn, zmierzające do wyłączenia okolicznych łąk i nieużytków z obwodu łowieckiego i przyłączenia ich do rezerwatu. Moje publiczne wypowiedzi w prasie i telewizji rozjątrzyły środowisko myśliwych, bowiem mówiłem jawnie, że regulowanie pogłowia dzikich zwierząt to zajęcie dla profesjonalistów i nie może być powierzone amatorom, zaś określanie zabijania zwierząt mianem sportu jest przejawem współczesnego barbarzyństwa. Takimi wypowiedziami zasłużyłem sobie na ich niechęć przejawiającą się między innymi paszkwilami i donosami do wojewody, ministerstwa, a także interwencjami senatora Pietrzaka z Węgorzewa. Urząd Gminy z Węgorzewa (burmistrz jest zapalonym myśliwym) obecnie usiłuje mnie i moją rodzinę wyeksmitować z Zielonego Ostrowa. Dom jest własnością gminy, a ja nie pełnię już zawodowo funkcji strażnika rezerwatu. Chciałbym jednak nadal tu mieszkać i opiekować się społecznie tym miejscem. Nie chcę i nie mam dokąd zabrać kilkudziesięciu żyjących tu na wolności koników polskich, które kupiliśmy za własne pieniądze i cały czas się nimi opiekujemy".

Kiedy przybywam do Węgorzewa, na spotkanie zamiast brodatego mężczyzny w czarnym golfie wychodzi kobieta. Uśmiechając się, mówi: - Mam na imię Eliza i choć nie noszę czarnego swetra i brody to przyjechałam zabrać cię na Zielony Ostrów. Wsiadam do zdezelowanego dużego fiata i ruszamy w drogę. Jedziemy wąską szosą w kierunku granicy z Rosją, po drodze mijając dawne wioski PGR-owskie. Eliza, żona Jana, opowiada mi po drodze historię tych ziem. Przed wojną Zielony Ostrów nazywał się Bergental i był typową pruską wsią podmiejską. Liczył 20 domów, miał szkołę, młyn i folwark. Jednak po II wojnie światowej wieś i miasto znalazły się po przeciwnych stronach granicy. Zielony Ostrów natomiast trafił w granice Polski - po wsi ostał się tylko jeden pruski dom otoczony zielenią. Kiedy do niego przybywamy, poznaję gospodarza tego miejsca - Jana Płońskiego, którego wygląd przywołuje mi na myśl trapera z książek Londona. Siadamy na wysłużonej kanapie w pokoju gościnnym i pijemy herbatę.

- Wyprowadziłem się z Warszawy, bo zawsze miałem dosyć miasta - opowiada Płoński.  - I miałem ku temu dobrą okazję, bo mojej firmie snycerskiej udało się zbankrutować. Wszystko, co mnie w mieście trzymało, przestało istnieć. Szukałem najpierw lokum w rejonie Puszczy Białowieskiej. Nie udało mi się jednak znaleźć odpowiedniej chałupy. Chciałem bowiem mieszkać na odludziu wśród pięknej przyrody. Przyciśnięty koniecznością pojechałem więc na Mazury, bo powiedziano mi, że są tutaj wolne domy do wzięcia. Zupełnie przypadkowo ktoś przyniósł gazetę, w której było ogłoszenie, że poszukują strażnika do rezerwatu, dają mieszkanie i atrakcyjną pracę. Pomyślałem - dlaczego by nie spróbować - I po raz pierwszy w życiu złożyłem podanie o pracę. Dostałem pismo od Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody, żebym przyjechał do Suwałk, bo zostałem przyjęty do pracy. Choć zgłosiło się stu chętnych, to wybrano mnie, bo w podaniu nie wyliczyłem wykształcenia i tytułów, ale napisałem, że potrafię sobie dać radę w każdych warunkach. Sprowadziłem się tutaj 1 lutego 1985 r., kiedy na dworze było 30 stopni mrozu i pół metra śniegu. Pierwsze dni były rzeczywiście ciężkie. Wysoki śnieg, najbliższy sklep o 6 km. Niedługo później poznałem moją przyszłą

żonę, Elizę. Sprowadziła się do mnie z trójką małych dzieci z poprzedniego małżeństwa, ku przerażeniu moich zwierzchników, którzy przecież zatrudnili kawalera.

Jeziro Oświn wraz z otaczającymi je łąkami i lasami w 1956 r. zostało objęte ochroną rezerwatowa w celu "ochrony naturalnego środowiska gniazdowania licznych gatunków ptactwa wodno-błotnego oraz swoistej szaty roślinnej". W 1984 r. rezerwat został wpisany na listę obszarów wodno-błotnych o znaczeniu międzynarodowym (Konwencja Ramsarska) a w 1998 r. na europejską listę ostoi ptaków. Obecnie przygotowany jest projekt rozporządzenia powiększającego teren chroniony na powierzchnię 1895 ha. Nad Oświnem zobaczyć można liczne gatunki gęsi, kaczek i ptaków siewkowatych oraz skrzydlatych drapieżców m.in. bielika, rybołowa, orzełka włochatego. Są tutaj także rzadkie raki błotne oraz czarne bociany. W czasie migracji ptaków wędrownych szczególnie cenne okazały się łąki późno koszone, na których niska trawa jest doskonałym miejscem żerowania żurawi i gęsi. Siadają wtedy na takim polu w tysiącach sztuk. I często bywa tak, że gdy patrzy się na łąkę, to wydaje się ona dziwna. Aż w końcu łąka podnosi się do góry i z krzykiem odlatuje.

- Jezioro Oświn jest miejscem szczególnym - przekonuje Płoński - nie dlatego, że tutaj jest czegoś wyjątkowo dużo, ani dlatego, że jest tu coś wyjątkowo rzadkiego. Tu wszystko jest w naturalnych proporcjach i to właśnie jest największą rzadkością! U nas jest tylko jedna para bielika, ale jest! Co rok wyprowadzają młode. Gęsi wędrowne zmieniły swoje zwyczaje o tyle, że jest ich o wiele mniej na przelotach niż kiedyś. Ale za to są u nas gęsi lęgowe. Kilkanascie lat temu ani jedna para nie miała tutaj gniazda, a teraz przynajmniej kilkanaście z nich wyprowadza lęgi.

W 1992 r. Jan Płoński z przyjaciółmi założył Fundację Jeziora Oświn, której celem był m.in. wykup przylegających do rezerwatu gruntów. Powiększając w ten sposób obszar chroniony, zapewniałoby się właściwą ochronę mieszkającym tu dzikim zwierzętom. Grunty Wesołowa - kilkanaście hektarów, które fundacja wykupiła od chłopów, a potem nieodpłatnie przekazała Skarbowi Państwa na poczet przyszłego rezerwatu, reprezentujący Skarb Państwa Urząd Rejonowy przekazał Lasom Państwowym. Jednak w październiku tego roku okazało się, że Nadleśnictwo Borki opiniując projekt powiększenia rezerwatu nie wyraziło zgody na włączenie tych gruntów do rezerwatu. W ten sposób Lasy Państwowe wyłudziły i sprzeniewierzyły kilkanaście hektarów brzegu jeziora przekazane im w darze od prywatnych ofiarodawców.

Patrząc na rozległy krajobraz jeziora Oświn pytam się gospodarza o nastawienie miejscowych ludzi do rezerwatu w czasach, kiedy zaczynał pracę. Odpowiada mi ze śmiechem. *- Znakomite! Do rezerwatu wyrzucało się śmieci, wylewało gnojowicę - to było takie miejsce przydatne dla każdego. W rezerwacie również się kłusowało i dotyczyło to zarówno kłusownictwa rybackiego, jak i łowieckiego. Będąc tutaj strażnikiem nie szukałem otwartych konfliktów z miejscowymi, jednak zdecydowanie rozmawiałem i próbowałem przekonywać. Dawałem im do zrozumienia, że wszystko, co robią jest pod kontrolą. Natomiast nigdy nie wlepiłem żadnego mandatu, nie łapałem ludzi. Owszem, jak znalazłem nielegalne sieci, to likwidowałem je na miejscu, albo gdy znalazłem łódki kłusownicze, to niszczyłem je siekierką. Unieszkodliwiłem ich w pierwszym roku mojej pracy chyba z kilkudziesiąt.*

Na początku swojego strażnikowania na Oświnie Płoński zadeklarowanych wrogów nie miał, jednak prawdziwe konflikty zaczęły się, gdy wyciągnął na jaw fakt, że myśliwi strzelają do gęsi nad rezerwatem.

- Gdy zostałem strażnikiem, miałem wiele zapału do pracy i żadnych doświadczeń - wspomina początki walki o rezerwat Jan. - Na polecenie szefa miałem za zadanie obserwować przebieg polowań na gęsi w czasie jesiennych przelotów. Gęsi było wtedy dużo, tysiące. Na pół godziny przed zachodem słońca nadlatywały nad jezioro ze wszystkich stron świata. Również zewsząd słychać było

kanonadę. O świcie na tafli jeziora znajdowałem ranne i martwe ptaki. Niektórzy myśliwi stawali na wąskim, wcinającym się w jezioro półwyspie. Musieliby strzelać pionowo w górę, żeby trafione gęsi nie spadały do jeziora. Oni polowali nie dla mięsa, lecz dla przyjemności zabijania. Byłem kiedyś świadkiem polowania na lisy, kiedy to "przez pomyłkę" padł łos, a gdy konserwator przyrody dał pozwolenie na redukcyjny odstrzał odyńców, to w czasie polowania padło 9 dzików, w tym 7 macior. W lutym, kiedy maciory są prośne! Innym z kolei razem widziałem, jak z ambony ustawionej tuż przy "poletku łowieckim" strzelano do buszującej w pszenicy zwierzyny. Na sekundę przed strzałem zapalał się potężny reflektor oślepiający zwierzęta. Nietrudno było wyciągnąć z tego wniosek, że dla rezerwatu będzie lepiej, jeśli myśliwi odsuną się od niego trochę.

Poczynione w terenie obserwacje Płoński przekazał swoim zwierzchnikom w formie notatek służbowych i sprawozdań. Ówczesny Wojewódzki Konserwator Przyrody Zdzisław Szkiruc potrafiący bezkonfliktowo załatwiać trudne sprawy, doprowadził do dobrowolnego wycofania się myśliwych z południowej części półwyspu. Od tego jednak czasu myśliwi zaczęli traktować Płońskiego jak zwierzynę do odstrzału. Pojawiły się donosy i pomówienia, że strażnik zajmuje się kłusownictwem rybackim. Akcje milicji na jeziorze, rewizje domu i samochodów odwiedzających go gości - wszystko bez efektu. Poprosił wtedy zwierzchników o pomoc w postaci jeszcze częstszych, nie zapowiadanych kontroli dokonywanych przez Państwową Straż Rybacką, aby oczyścić się z oskarżeń. Jak dotąd, czyli przez 17 lat nikt nie był w stanie udowodnić mu kłusownictwa. Jednak Płoński od pół roku nie jest już oficjalnie strażnikiem rezerwatu. Pod pretekstem kradzieży drewna pozbawiono go tej funkcji i pozbyto się w ten sposób niewygodnego dla miejscowej elity człowieka. Nie załamał się tym i wciąż strzeże skarbów jeziora Oświn. Już nie zawodowo, lecz społecznie...

Na Zielonym Ostrowiu przebywa obecnie 45 koników polskich w całkowicie naturalnych warunkach. Nie mają stajni, ogrodzeń, nie są dokarmiane. W zamian mają do dyspozycji prawie 500 ha łąk, pastwisk, bagien i zagajników. Dwa konkurujące ze sobą stada podzieliły teren między siebie i kształtują krajobraz wydeptując i zgryzając krzewy i siewki drzew, tworząc otwartą przestrzeń dla migrującego ptactwa. Pierwsze stado pasie się na łąkach tuż przy granicy z Rosją. Przewodzi mu ogier Namorzyniec. Drugie, pod wodzą Morusa, można spotkać nad jeziorem. Całość stanowi istotną rezerwę genetyczną jedynej rodzimej rasy koni prymitywnych i w kraju jest drugim co do wielkości stadem żyjącym na wolności. Jego unikalność doceniło Ministerstwo Rolnictwa nadając hodowli status zachowawczej.

Ruszamy w teren na spotkanie z nimi. Wsiadam razem z gospodarzem i jego synem Osmanem do starego radzieckiego uaza, kupionego okazjnie od służb granicznych. Jako jedyny jest w stanie skutecznie zmierzyć się z tutejszymi ugorami i podmokłymi łąkami.

- Kiedy zatrudniałem się do pracy jako strażnik - wspomina Płoński - już w pierwszym miesiącu wiedziałem, że chodząc pieszo, mogę się tylko nachodzić i nic więcej. Teren jest zbyt duży, żeby można go było pieszo skontrolować, bo tu wszystkiego jest ponad tysiąc hektarów. Przejście na drugi koniec jeziora jest wyprawą na cały dzień, w czasie której przeszukać można było tylko kilkadziesiąt metrów brzegu. I jeśli chciałem skontrolować inny fragment, to znowu zajmowało mi to cały dzień, a w tym czasie kłusownicy mogli przenieść swój sprzęt na odcinek, w którym byłem poprzedniego dnia. To była syzyfowa praca, chociaż nie do końca bezskuteczna "przez te piesze wyprawy dokładnie poznawałem rezerwat" wodę, jezioro, las i łąki. Te pierwsze lata były fascynujące - była to eksploracja zupełnie nieznanego łądu.

Jedziemy polną drogą, okolica wygląda niczym skrzyżowanie ukraińskiego stepu z afrykańskim buszem. Wokół nas przesuwa się przestrzeń traw z kępami ciernistych głógów. Dziś możemy mówić o dużym szczęściu. Dostyc szybko udaje się odnaleźć ukryte wśród wysokich traw dwa stada koników oraz grupę młodych ogierków. Wsiadamy z samochodu. Stado koników o myszatej sierści gromadzi

się wokół, ocierając ciekawskie pyski o nasze ciała. Trochę nieswojo się czuję wśród tej płataniny końskich ciał, szczypiących moje ubranie grubymi, mięsistymi wargami. W jedno ze stad pod nieobecność ogiera wdzierają się młode konie, szercząc wśród statecznych klaczy chaos i panikę. Najstarsza z nich, pełniąca obowiązki opiekunki stada, próbuje zębami przegonić rozochoczoną męską młodzież. Bez skutku. Jednak taka sytuacja nie trwa długo. Od strony lasu dochodzi głośnie rżenie i na polanę w pełnym galopie wpada ogier z rozwianą grzywą. Młode hultaje widząc, co się święci, nie czekają na dalszy rozwój wypadków i w popłochu znikają w gęstwinie lasu.

- Ogiery walczą ze sobą nieustannie i są to walki na śmierć i życie. Nasz ogier Trop padł na serce w walce z Nemrodem. Po nim z kolei znaleźliśmy tylko nogę, kiedy po walce z Morusem oddalił się od stad - opowiada o koniach Eliza, kiedy dotarliśmy z wyprawy do domu.

Noc spędziłem w pokoju dla gości, gdzie nad kinkietem w sąsiedniej łazience jaskółki wybudowały sobie gniazdo z gliny. Ściany pokoju ozdabiają kolorowe zdjęcia koników autorstwa Elizy. Część z nich objechało wiele wystaw.

Wczesnym rankiem opuszczam gościnny dom Płońskich, jego spokój, zapach łąk, rżenie koni za lasem. Gospodarze wtopieni w krajobraz Zielonego Ostrowa niczym dwa mocne drzewa wydają się być nierozłączną częścią tego ginącego świata. I póki Płońscy i im podobni będą go strzec, póty ten świat nie zginie.

Dariusz Matusiak

Sprostowanie Do mojego artykułu "Strażnik Jeziora" (DŻ nr 12-1/2002-2003) wkradła się nieścisłość, która wymaga sprostowania. Dotyczy ona gruntów, które Fundacja Jeziora Oświn wykupiła od prywatnych właścicieli i przekazała Urzędowi Rejonowemu w celu powiększenia rezerwatu. Grunty te Urząd Rejonowy przekazał do Starostwa, a to z kolei przekazało je w gestię Nadleśnictwa celem zalesienia. Nie wiadomo dziś, który urząd "zgubił" informację, że jest to darowizna przeznaczona dla rezerwatu. W każdym razie Nadleśniczy wyrażając swoją opinię na temat powiększania rezerwatu nie wiedział, że te grunty są darowizną Fundacji. Dowiedziawszy się o problemie - zmienił decyzję jeszcze przed ukazaniem się artykułu, o czym my dowiedzieliśmy się jednak dopiero niedawno.

W artykule padły ostre słowa pod adresem Nadleśnictwa i Lasów Państwowych, tymczasem okazuje się, że nie było tu złej woli, a jedynie zły przepływ informacji pomiędzy urzędami.

Za ostre słowa i nieścisłości przepraszam w imieniu cytowanego w artykule Jana Płońskiego oraz swoim.

Dariusz Matusiak